

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

siebie przywiązać, zawsze będzie w nim tkwiła drzazga niepewności, imaginacyjne podejrzenie zrodzone przez niezauważalny fakt. Podobnie z Albertyną. Uwarunkowanie sprawia, że Odeta z kochanki Swana przepoczwarza się w czcigodną matronę de Forcheville, a jej córka, Gilberta, miłość narratora powieści, też Marcela, bryluje w świecie, który jej matce wzbrańał do siebie przystępu.

Poznajemy młodych, by dostrzec ich starość. Widzimy ich w starości, by zobaczyć, kim byli wprzód. Salon księżnej de Guermantes, początkowo nieosiągalny dla narratora, tak samo jak i narrator, zestarzał się i utracił poprzedni prestiż, stając się salonem zgryzbiałych szczęśliwców, po którym oprowadza nas Proust – konserwator pamięci: „rozkręcone albo połamane sprężyny mechanizmu odpychającego przestały funkcjonować, przedostawały się tu tysiące ciał obcych, odbierając temu środowisku wszelką homogeniczność, charakter, barwę. Faubourg Saint-Germain, niby stara zramolała matrona, odpowiadało już tylko lekliwymi uśmiechami beczelnym lokajom, którzy pchali się na salony, pili oranżadę i przedstawiali swoje metresy.” (*Czas Odnaleziony*, PIW 1979, s. 928).

W epoce fizycznej aktywności Marcela, modne były kontakty arystokracji ze środowiskiem artystycznym. Do dobrego tonu należało bywanie w ich otoczeniu. I znakomicie widziane były kontakty z ludźmi uzurpującymi sobie prawo do uchodzenia za arystokratów, ponieważ dla uczestników takich ugrupowań liczyły się tylko pozory, bo w rzeczywistości ani jeden z nich nie należał do żadnej z tych grup.

Spotkania ich odbywały się w kołtuńskich salonach, w intelektualnych pieczarach naśladowujących wielkopański sznyt. Pisarz skarykaturował je powołując do życia kulturalną stajnię prowadzoną przez panią Verudin, snobkę o sztampowych przekonaniach, pretenjonalną, zarozumiałą, prymitywną, próżną mitomankę przeświadczoną o nieocenionych walorach swojego groteskowego gustu.

Pani Verudin, manieryczna obłudnica pogardzająca arystokracją na początku powieściowego cyklu, jest w „Czasie odnalezionym”, w ostatnim jego tomie – księżną de Guermants, księżną wybrakowaną, z przeceiny i odrzutu, problematycznej kategorii, lecz księżną opisaną w „Almanachu Gotajskim”.

Jako że jej kulturalna melina salonowa w niczym nie mogła rywalizować z tradycyjnymi kuźniami eleganckiego smaku, starała się obrzucać błotem wszystko to, co było poza jej zasięgiem, niedostępne i z tego powodu

budzące w niej – odrazę. Nie była to wszakże odraza szczerą i uzasadnioną prawdziwym oburzeniem, ale – upozorowana, fałszywa i zracjonalizowana, pełniąca rolę rekompensacyjnego wytworu idiosynkrazji czy niepewności własnej ignorancji.

Ludzie należą do jej „cechu” (nazywanego przez nią – „paczką”), byli specjalnie dobierani; musieli dysponować uległym jej, plastycznym charakterem; charakterem kurka na dachu. Żwawy pomyślunek, dobrze naoliwiony mózg, były to zalety spoza ich kręgu, mocno podejrzane, bo względne i niewymierzalne; jak mogła ocenić ich wartość, nie posiadając umysłowego oprzyrządowania, jak mogła stwierdzić, czy używający rozumu oddaje jej cześć, czy z niej drwi? Dlatego, na wszelki wypadek, wolała otaczać się zdecydowanymi głupcami, ludźmi o ażurowym umyśle.

Demonstracyjne lata towarzyskiego ostracyzmu zacierają się razem ze zmętnieniem świadomości bohaterów „katedry” i ten, co za młodu uważany był za szelmę, pod koniec swojego życia zyskuje miano nieszkodliwego piernika. Ludzie, ich martwa obecność, zaczynają ożywać wtedy; oświetleni i wydobyti z zakamarków proustowskiego świata, istnieją w nim nadal.

Baron de Charlus, dumny, chępliwy, majestatyczny, hardy, szampański, czterdziestoletni arystokrata ducha z tomu „W cieniu zakwitających dziewcząt”, na koncercie u księżnej de Guermantes jest już tylko stetryczalnym pederastą, który z wielkim nakładem zwiotczalych sił trzyma się na nogach i z trudem sepleni trzy po trzy, nie wszystkim i nie w każdym gremium pozwalając zbliżyć się do siebie. Jedną z pogardzanych przez niego postaci była pani de Sainte-Euverte, osoba niegodna jego sympatii.

Lecz gdy z początku powieści może demonstrować swoje towarzyskie fochy i dokonuje dzielenia znajomych na wartych ukłonu lub godnych zrzucenia ze schodów, to podczas ostatnich jej sekwencji składa owej pani zaskakująco serdeczne i bardzo nieoczekiwane pozdrowienia. Jednak nie są to czołobitności adresowane do niej; są to raczej hołdy skierowane do samego siebie, do zamglonych i niewyraźnych wspomnień. Do tego siebie, którym był niegdyś: rzutkim magnatem i wyrafinowanym estetą, królewiatkiem, dandysem i znawcą epoki, a nie sparaliżowanym dziadym z muzeum osobliwości.

Marcel umartwia się z rezultatem; jego „katedra” zostaje zauważona, doceniona i owocuje do dziś. Przyjaciół nie ma. Początkowo nie zrywa koniecznych mu więzi; pracuje wśród ludzi poruszających się w rzeczywistości, zbiera, kompletuje materiały wy-

ściowe do „katedry”, a porównanie tego, co w nim jeszcze jest, z tym, co już stało się dla nich przeszłością, zdumiewa go. Uczy się ich od nowa; nadal są podobni do siebie sprzed lat, a jednak ich podobieństwo nie jest już tak zupełne; poszarpani przez nieublagany czas, należą do „żywych umarłych”. W ich twarzach, siwych włosach i przygarbionych sylwetkach, obserwuje własne przeistoczenia i choć stara się ich nie dostrzegać, z każdą chwilą są coraz większe.

Ludzie, jak spłowiałe fotografie i meble po rodzicach, zawierają w sobie co i rusz to nowe odczucia. Ludzie, z którymi utrzymuje nieożywione kontakty, należą do „znajomych doraźnych”, szachowych figurynek, chwilowo potrzebnych, sympatycznych do czasu, do momentu ich całkowitego rozgryzienia: dokąd mu na ich poznanie zależy, dopóki są ciekawi, dowcipni, nadają się do snucia rozważań, potwierdzają bądź zaprzeczają jego powieściowym teoriom.

Starczy mu wniknąć w jedną, by uruchomiła kolejne, równie ważne i pobudzające myśl. Spotyka się z nimi, robi, co w jego mocy, by nawiązać z nimi serdeczny kontakt, a gdy wyciągnie z nich to, na czym mu zależy, przestają go interesować, ponieważ są już ukończonymi elementami „katedry” (jak mówi o swojej książce), „istotami zrodzonymi z przeszłości” (*Czas Odnaleziony*, PIW 1979, s. 829). Odchodzą na plan dalszy – niebyły, archiwalny i zielnikowy; zrywa z nimi, ponieważ stanowili dla niego tworzywo: materiał do konstruowania postaci.

cdn.

Marek Jastrząb



Rys. Barbara Medajska